



Cena numeru 12 zł

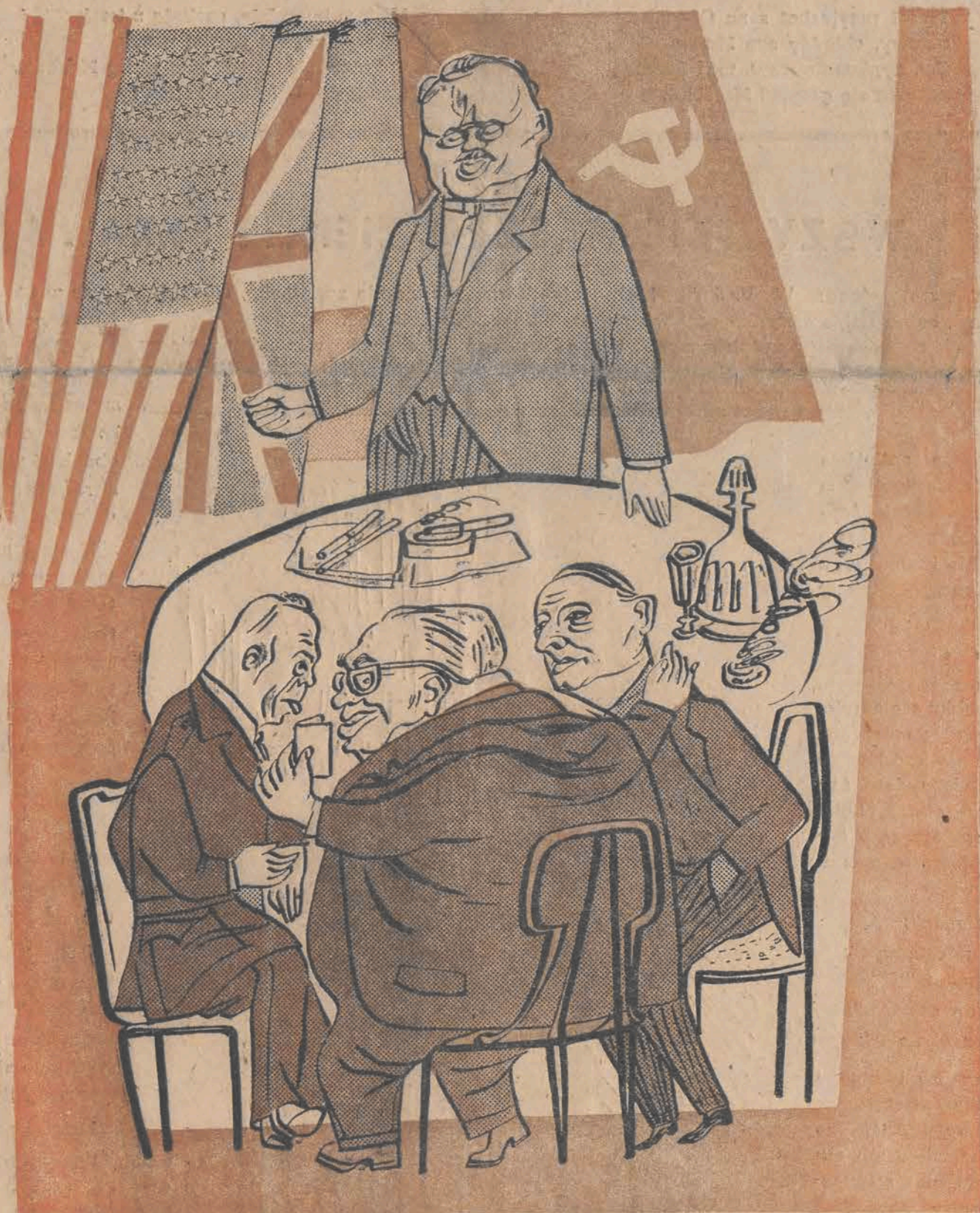
ROZGŁOSZENIA BIJĄCO TYDZIEŃ

Rok II

23 marca 1947

Nr. 13 (33)

SPRAWA NIEMIECKA NA KONFERENCJI MOSKIEWSKIEJ



Rys. REGINA KANSKA

MIĘDZY MOŁOTOWEM A KNOWADŁEM

LUDWIK JERZY KERN

DO MISTRZA PUSZKINA

Do tego miasta, gdzie Moskwa płynie,
o którym śnił Schickelgruber,
z różnych stron świata, mistrzu Puszkynie,
zjechały ryby grube.

Pierwszy przyjechał z osnutej mgłami
wyspy, co lubi się puszyć,
pan z olbrzymimi okularami
i o olbrzymiej tuszy.

Swych politycznych, własnych teorii
bagażyk przywiózł liczny.
(A fama ludów mówi już o nim:
minister Gaff Zagranicznych.)

Drugi przyjechał z Francji słonecznej
pan, który lubi wino.
Bardzo wytworny, spokojny, grzeczny,
bez cienia nudy i spleenu.

Trzeci przyjechał z za Oceanu
surowy, chłodny syn Marsa.
Ten dyplomata, czyli mąż Stanów,
nazywa się generał Marshall.

Czwarty ich witał jako pan domu,
kolejno ścisnął im ręce.
A potem wobec kwestii ogromu
zaczęli konferencję.

I tutaj właśnie, mistrzu Puszkynie,
ty, któryś był demokratą,
mógłbyś im pomóc w tym trudnym czynle
i wpłynąć poważnie na to,

by w atmosferze zupełnej zgody
powzięli decyzję śmiałą,
co trzeba zrobić z Draniem-Narodem,
by więcej mu się nie wstało.

Ty jesteś duchem, a wszak dla ducha
nie ma zbyt trudnych rzeczy.
Idź do nich nocą. Mów im do ucha
o idealach człowieczych.

Mistrzu Puszkynie, czekają z troską,
na wynik Twojej nocnej pracy
w hotelu „Moskwa” nad rzeką Moskwa,
słowianie — bracia Polacy!

STEFAN STEFAŃSKI

WSZYSTKIE NASZE DZIENNE SPRAWY

Powiedziała mi wczoraj żona: W U. S. A., kraju rekordów,
nie mam, mój drogi, ce na siebie wszystko odbywa się w tempie
włożył

Westchnąłem i sprawdziłem w
kalendarzu: zgadza się — wio-
sna.

Ponadto poznałbym nadejście
wiosny po tym, że się w naszym
mieście bardzo powodzi. W żad-
nej porze roku nie było tu tyle
wody, co teraz. Ale trudno: taka
jest cena, za którą „pekają nie-
czułe lody”.

* * *

P.I.M., nasza babka meteorolo-
giczna, na ogół wróży na dwoje.
Należy jednak stwierdzić, że
przepowiednie P.I.M.'u dość ści-
śle określają aurę obrad Minis-
trów Spraw Zagranicznych Wiel-
kiej Czwórki w Moskwie, a mia-
nowicie:

- 1) „pogoda zmienna”;
- 2) „miejscami pochmurnie”;
- 3) „wiatry zachodnie”;
- 4) „skłonność do opadów”;
- 5) „temperatura około 0”;

Ponieważ wierzymy w potęgę
wiosny i jej wpływ nawet na dy-
plomatów, miejmy nadzieję, że
się pogoda w Moskwie ustali, za-
chmurzenie w sprawie niemiec-
kiej wyjaśni, wiatry zachodnie
przesną dokuczać, opadów nie
będzie, a temperatura się podnie-
sie.

Boć przecie po to chyba i Kon-
ferencja, aby atmosfera między
Wielkimi Mocarstwami w zupeł-
ności odtajała, a Niemcy zostali
na lodzie...

nic się nie zazieleniło, a tam już
kwitnie lipa.

przyśpieszonym. U nas jeszcze
mimo wiosny „pólniec dmucha” i

Rzecz polega bynajmniej nie na
cudzie przyrody, ale swolstej po-



S. Cieloch 47

Rys. Stanisław Cieloch

CIEN

lityce prez. Trumana. Prez. Tru-
man chce „pomóc” Grecji, Turcji,
Austrii, a nawet — Japonii. Trud-
no było odmrozić kilkadziesiąt
millionów polskiego złota zablo-
kowanego w Ameryce, ale łatwo
obdzielić wymienione wyżej pań-
stwa sumą pięciu i pół miliarda
dolarów!

Złotemu sercu gł. lokatora Bia-
łego Domu i „pana z milionami”
U.S.A. obca jest, oczywiście, sen-
timentalna filantropia. W cieniu
kwitnącej lipy, zwanej „pomocą”,
kwitnie cichy interes drapieżnych
bankierów z Wall-Street'u: do, ut
des, facio, ut facies...

* * *

Jest w zwyczaju rozpoczynać
sezon wiosenny od wizyty ...w
Ogrodzie Zoologicznym.

Jeśli chodzi o mieszkańców
Warszawy, uwagę ich od pupi-
łów dyr. Zabińskiego odciąga o-
becność atrakcyjnego (w najgor-
szym tego słowa znaczeniu) zwie-
rzęcia na dwóch nogach.

Zwierzę nazywa się — Hoess.

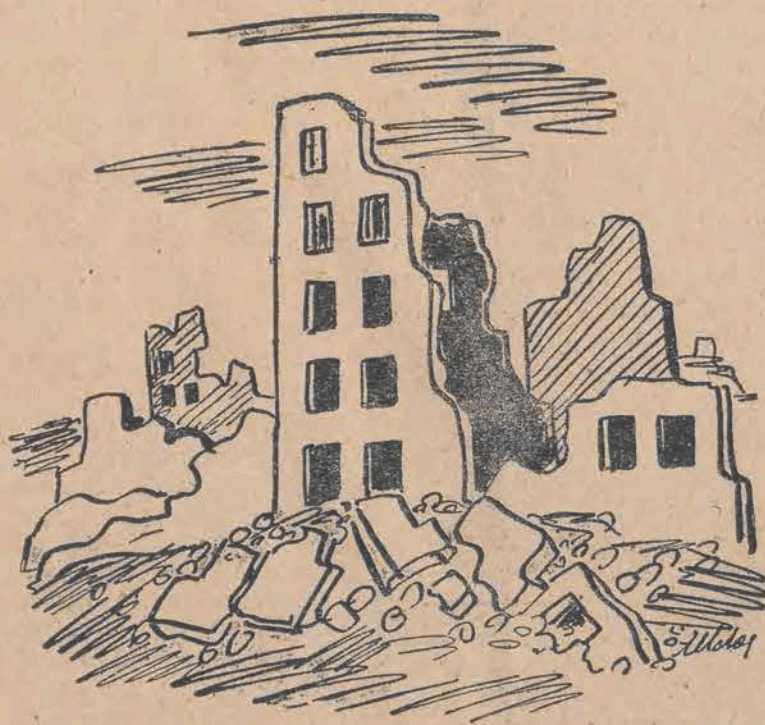
Przychodzą go ludzie oglądać
na procesie, przysłuchując się
mrożącym krew w żyłach zezna-
niom i dziwią się.

Dziwią się, że są jeszcze na
świecie perwersyjni faceci, któ-
rzy szukają u hoessów „aspek-
tów ludzkich” i głoszą koniecz-
ność wielkodusznego ich trakto-
wania...

E. BEVIN: „SPRAWA NIEMIECKA POSIADA ASPEKT LUDZKI I RZECZOWY



ASPEKT LUDZKI



Rys. Tadeusz Ulatowski

ASPEKT RZECZOWY

MAGDALENA SAMOZWANIEC

TYLKO DLA MEZCZYZN

„BAD — DAYS”

Czy wiecie panowie, co to znaczy? — Znaczy to po angielsku „brzydkie dni” a niedosłownie: „złe dni”.

Każdy mężczyzna wie, że raz w miesiącu takie dni, które zwykle trwają dwie, lub dwie i pół doby. Co robi mąż podczas takiego okresu? Chodzi smutny, kwaśny, upiety, sztywny, jakby — nie „kij polknął” — ale krzyż. Nie mówi zwykle podczas owej trzydniówki nic — albo tylko coś w rodzaju: „Życie mi kompletnie abryzdło” — albo z rzewnym, dalekim uśmiechem: „Czy ja kiedy myślałem, że będę aż tak nieszczęśliwy...”

Żona wówczas nie powinna go drażnić.

Są to objawy często fizjologiczne, więc powinna chodzić koło niego jak koło chorego, pytania zadawać krótkie, rzeczowe, bo ilość słów męczy go. Pytania owe powinny być z dziedziny kulinarnej. Te go najmniej rozdrażniają: „Wódeczki? — Rosółku? — Kanapkę? — Kielbasę na gorąco?” — Na wszystko odpowie: „Spokoju... nic nie pragnę tylko spokoju...”

Mądra żona nic sobie z tego nie powinna robić tylko podsunąć mu do łapczana, na którym biedny, spoczywa, stolik suto zastawiony. Gdy żona wyjdzie z pokoju, napewno uszczknie coś z zagryzek. U mężczyzn przeważliwionych, trzydniówka przyjmuje jeszcze groźniejsze formy. Żona wraca z zakupów do domu i

widzi, jak „pan” składa swoje koszulki i pakuje do walizeczki: — Co ty robisz? — Wyjeżdżam... — Dokąd?

— Nie wiem... Był jak najdalej stąd... Dziewięćdziesiąt kobiet na sto zaczyna wówczas płakać. Bo i jakiesz tu nerwowo wytrzymać

jak znikają w walizeczce młutkie gątki, koszulki, które się razem, wybierają, ubranko niedawno uszyte z przydziałowego materiału.

Pan jest wspaniałomyślny:

— Obrazy ci zostawię, z reżników — biore ze sobą tylko trzy sztuki, z reszty piżam będziesz mogła sobie uszyć letnią sukienkę... Mydło zostawiam. Kupię sobie inne gdzieś po drodze...

Im bardziej jest hojny i bezinteresowny tym rzęsiściej płacze kobieta. Nie powinna jednak tego robić, bo za chwilę wróci się jeszcze po krawatkę, potem po aparat fotograficzny, w międzyczasie zje obiad:

— Choć dziwna rzecz — nie mam apetytu...

A potem się trochę zdrzemnie i postanowi... wyjechać na drugi dzień. Następny dzień to zwykle ostatni dzień trzydniówki, więc kryzys jest na ukończeniu i można mieć nadzieję, że wszystko niedługo wróci do normalnego trybu.

Najlepsza rada dla mężczyzn na szczęśliwe przebycie owych fatalnych dni to: książka albo brydz. Wprawdzie taki partner bywa przy kartach w tym okresie bardzo przykrym, agresywnym, drażliwym, wciąż się pyta niedyskretnie: „z czym? z czym pani licytowała bez stu?” a potem wygra, nie chce przyjąć podartej setki, ale przynajmniej inni, nie biedna żona cierpią na skutek jego „bad — days”.

STANISŁAW SOJECKI

Wierszyk bardzo naiwny

Raz na rok taka chwila przychodzi,
Ze nic na świecie mnie nie obchodzi

Nawet nie jestem gazet ciekawy
I nie posłucham radia z Warszawy.

Albo czy w Moskwie dojrzeje traktat?
I tę odkładam sprawę od acta!..

Czy Anglia zwróci nam nasze złoto?
Wczoraj bym szalał — dziś nie dbam o to.

Bevin do ognia drzewek dokłada?
Dziś mnie nie drażni — niech sobie gada!..

Niech się o Grecję wadzi z Marshall'em —
Całej tej kłótni nie słyszę wcale.

Nie wiem co ważne: nafta, czy guma
I zapomniałem, kto to jest Truman.

Choć nie zajmuję się żadnym handlem,
Sprzedałbym Stanom duńską Grenlandię.

Gwiżdżę na kwestię nawet atomu,
Choćby mi bomba wpadła do domu —

Bowiem raz na rok moment przychodzi,
Ze nic na świecie mnie nie obchodzi.

Widziałem właśnie ów moment wzniosły
Jak się ludziska śmiali do wiosny.

Twarze ze słońca, a z fiołków oczy —
Jakże się żywot różniej potoczył.

Czego nie mogli dokonać ludzie,
Sprawił pierwiosnek wzrosły na grudzie!

Ilustr. Tadeusz Ulatowski

Sędzia przyglądał się długo oskarżonemu, wreszcie — wyraźnie zgorzony — zataił ręce:

— To straszne! — jęknął — Co za zdziwienie obyczajów! Jakaż demoralizacja i upadek moralny! Człowiek na odpowiedzialnym stanowisku, wykształcony — i taka zbrodnia! Niechże pan powie przynajmniej, jak to się stało?

Oskarżony wzruszył ramionami.

— Sprawa zupełnie prosta — odparł — Poszliśmy oglądać, jak saperzy wysadzają krę na rzecze. Dowódcą saperów był, na szczęście, mój przyjaciel „— No,



coś — powiada do mnie — chcesz; Władek; spróbować? — Inżynier jesteś; to napewno potrafisz to urządzić! Skorzystałem chętnie z propozycji. — ;Zostań tutaj; kochana Natalia — rzekłem do żony — popatrz; jak pięknie lód skrzy się w słońcu; a ja zaraz wrócę. Zostawiłem ją na lodzie złożyłem ładunki i biegłem na brzeg. Tu nacisnąłem kontakt i trach; lód w górę; Natalia w górę... Przepraszam, panie sędzio, czy coś z niej zostało?

— Szczątki — rzekł surowo sędzia — szczątki, zbrodniarz! Strzępki karakułów! Szlag doprawdy człowieka trafia, gdy się o tym pomyśli... Takie przestępstwo! I gdybyż mógł pan przytoczyć jakieś okoliczności łagodzące... ale nie, to niemożliwe. Czy żona pańska...

— Straszna była, panie sędzio — przerwał oskarżony — Naprawdę — straszna!

— Zła?

— Bo ja wiem, kretynka.

— Brzydka?

SPRAWA KRYMINALNA

— Nie w moim guście, ale mówią, przystojna.

— Zdradzała pana?

— Nie. W każdym bądź razie nic o tym nie słyszałem.

— Dokuczała panu?

— Wprost przeciwnie, była dla mnie jak anioł.

— I dlatego pan ją zamordował?!

— Właśnie dla tego, — powiedział z rozpaczą inżynier. — Bo niech pan sobie wyobrazi: rano, człowiek się budzi, a tu: „jasne słońcecko późno dziś wstało, zaraz dostanie buzi od żonusi i weźmie dobre ziołeczka na wątróbkę”. Wychodzę do pracy: „a niech się mężusia dobrze opatuli pod szyjkę, bo mrozek na szybkach, a jak mężusia będzie miał kataręk, to nie będzie całuska”. Zapalam papierosa: „tuj synuchna tyle kopci, a zdrówko nie pozwala, wcale na to nie pozwala...” Nalewam kieliszek



wódki: „o cio to, to nie — doktoręk zabronił, nie można, kotuchna, nie można”. Chcę wyjść wieczorem (umówiłem się z przyjaciółmi): „o, mężusia opuszcza domcio? Brzydko! Mężusia zostanie, a żonusia mu za to ładnie

zaśpiewa”. Rozumie pan, panie sędzio, taką psłakrew, idyllę? A tu człowiek zdrow jak byk, z temperamentem...

Sędzia pokręcił głową.

— Przesada! — oświadczył — Przecież nikt panu nie broniał dać upust temu swojemu — jak się pan wyraził — temperamentowi?

— Akurat! Niechbym tylko spróbował! Zaraz spazmy, szloch, lamenty, awantury, kiótnie, płacz i zgrzytanie zębami i w ogóle koniec świata.

— No, no, zamysłili się poważnie sędzio — Bądź co bądź to jeszcze nie usprawiedliwia...

— Ależ to nie wszystko, panie sędzio! Zapomniałem panu powiedzieć o „porządku”. Zostawiam na biurku bałagan, a gdy wracam — równo, gładko ułożone, nic znaleźć nie można...

— A w bibliotece — zapytał sędzia — też zapewne dla „porządku” układała panu książki według koloru okładek i formatu?

— Naturalnie! — wykrzyknął inżynier — Skąd pan wie?

— A zamiast papierosów — ciągnął sędzia — kazała panu zażywać cukierki eukaliptusowe!

— Co za intuicja! Tak jest, panie sędzio!

— A z telefonem? Mógł pan kiedy zadzwonić ze swego domowego aparatu, czy też był on zawsze „zajęty” na ważne rozmowy z panią Butą, panią Nela, i innymi wydrami z kawłarni?

— Zajęty panie sędzio! Całą dobę — zajęty!

— A ile pan ma garniturów, panie inżynierze?

— Dwa. Jeden na sobie, a drugi — „wizytowy”.

— A ś. p. żona?

— Dwie szafy łachów i ciągle: „ach, jakam ja nieszczęśliwa, nie mam co na siebie włożyć”?

— A u frzyjera często pan bywał?

— Raz na miesiąc przez kwadrans. Strzyżenie.

— A nieboszczka?

— Trzy razy tygodniowo. Za każdym razem — conajmniej pięć pięć godzin.

— A obiad, panie inżynierze, obiad?

— Spóźniony i przypalony.

— A czy nie wdychała, że: „gdybym się z tobą nie ożeniła...” albo: „inne to mają mężów, a ja...”?



— Oczywiście, że wdychała. Całe nasze życie wdychała. Ale że też pan, panie sędzio, tak się potrafił wczuć w moją sytuację?

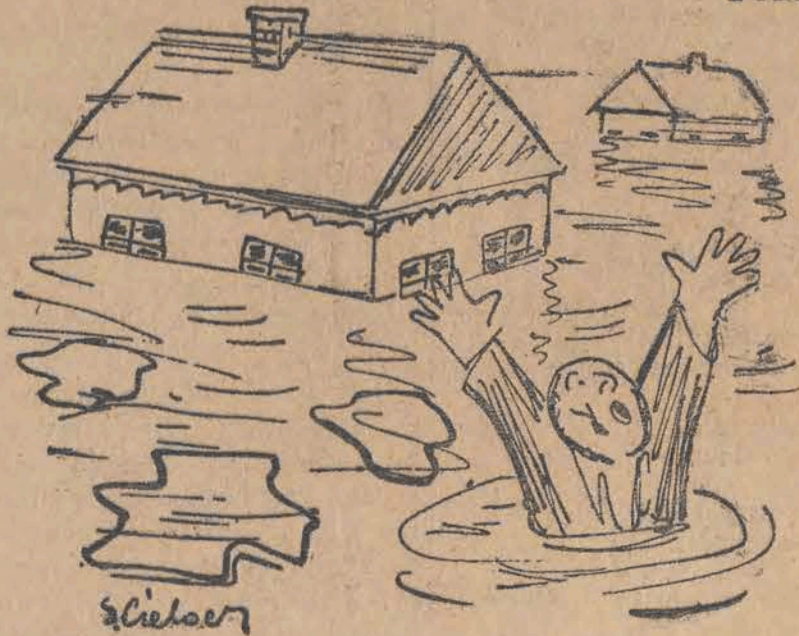
Sędzia machnął ręką odpędzając jakąś natrętą myśl. Wreszcie po chwili poprosił nieśmiało: — A gdyby pan mi dał kartkę do tego swojego przyjaciela od saperów?

Bardzo bym chciał pokazać swojej żonie, jak się wysadza lód w powietrze! Może mi się uda tak jak panu...

Przepisał z autentycznych akt sędziego śledczego N... mgr:

Etienne.

Z FRONTU POWODZIOWEGO



Rys. Stanisław Cieloch

ZALANI

A to pan zna?

Do artystki dramatycznej G. przychodzi z wizytą jeden z jej przysięgłych galopantów

— Niema pani w domu — informuje ob pracownica domowa.

— Niema? — rozgląda się podejrzliwie po przedpokoju wielbiciel.

Ob. pracownica domowa wzrusza ramionami.

— Sam pan chyba widzi — powiada — Przecież chodzę w jej sukni.

Jeden z dyrektorów przemysłu włókienniczego ożenił się ze „zwykłą” pocztową panią z okienka. Pewnego razu oburzony o coś na żonę, przygarnął ją szpetnie:

— Gdyby nie ja, idiotko jedna, przyjmowałabyś jeszcze telegrams na pocztę!

— Tak — odpowiada chłodno b. telegrafistka — ale wtedy byś się przynajmniej liczył ze słowami!

Żona literata H., zaniepokojona stanem zdrowia swego męża, zaprowadziła go do lekarza.

— No, cóż — oświadczył eskulap po auskultacji — mężowi pan! potrzebny jest bezwzględny spokój. Zaraz zapiszę środek uspakajający...

— A ile razy dziennie ma go mąż zażywać? — spytała pani H.

— Mąż? — zdziwił się lekarz — Skąd znowu! Pani ma zażywać!

Śpiewczka S. skarżyła się przed przyjaciółką:

— Nie wiem doprawdy, co się stało. Zrobiłam się taka nerwowa, że nie mogę znieść widoku ludzkiej twarzy...

— Powinnoś w takim razie dać znowu koncert — radzi życzliwie przyjaciółka.

Sprawozdawca sportowy opowiada z entuzjazmem w redakcji o niebywałej formie lekkoatlety Moczki:

...przebiegł w doskonałym czasie 5 kilometrów, a potem jeszcze przeskańczył płot wysoką na metr siedemdziesiąt...

— Sztuka — mruknął jeden ze słuchających — Przy takim rozpędzie!

Redaktor S. utyskuje na nadmiar pracy. Kiedyś, w towarzystwie zapytał go ktoś ciekawy:

— A kiedy ma pan w ciągu dnia najcięższą pracę?

— Zawsze przed pierwszą po południu.

— Czyżby? Cóż pan wtedy robi?

— Próbuję wstać z łóżka.

Pewien mąż stanu — mniejsza o nazwisko — jest bardzo łakomy na hołdy, sukcesy itp. Pewnego dnia, przy wyjściu z pociągu, spostrzega wśród nielicznego grona witających go przyjaciół — dziewczynkę z kwiatami. Bierze bukiet z jej ręki i mówi wzruszony:

— Ach, cóż za piękne różel! Jak cudnie pachną! Doprawdy, moje dziecko, jestem ci b. wdzięczny!

To powiedziawszy, odchodzi. Dziewczynka stoi przez chwilę jak osłupiała, lecz wnet odzyskuje przytomność i krzyczy:

— Panie, panie, a kto zapłaci 100 złotych?

Tenże sam „mąż” uwielbia sam siebie i mówi przeważnie tylko o sobie.

Dziennikarz H. zapytany o jego zdrowie powiedział:

— Znow musiał się położyć do łóżka! Nic dziwnego: mówiąc o sobie, zdejmuję z nabożeństwem kapelusz. A ponieważ jest łysy i o niczym innym nie mówi — więc jest wciąż przeziębiony.

Bokserowi P. doniesiono, że ma w Warszawie sobowtóra, który korzystając z podobieństwa do mistrza naciąga jego wielbicieli na wódkę i pożyczki pieniężne.

— Niech-no mi tylko wpadnie w ręce! — mruczy ponuro P. — Daję wam słowo, że podobieństwo jego twarzy do mojej zniknie zupełnie...

Znakomity reżyser S. jest zwłaszcza „majstrem” od scen zespołowych.

Pewnego razu dwaj aktorzy (zresztą wielbicieli mistrza) siedząc w oknie cukierni widzą na ulicy tłum ludzi i słyszą pieśń chóralną.

— Cóż to znowu za uroczystość? — pyta jeden z aktorów.

— Nie wiesz? — odpowiada drugi, przyglądając się pochodowi — To S. idzie do budki po papierosy!

S. jest bardzo wymagający, jeśli chodzi o realizm sceniczny.

— Co to jest? — wala na próbie do aktorki, „skazanej” przez autora na śmierć — To nierealne; niema za gross życia w tym paninym umieraniu!

Początkujący literat P. równoważy braki talentu nadmiarem tupetu.

Spotykając kiedyś w towarzystwie świetnego poetę T., wyciąga doń rękę z okrzykiem:

— Serwus, kolega!

— Kolego? — uśmiecha się T. przyjmując dłoń — To pan też ma katar?

Rozmawiano o zarozumiałych amantach teatralnych, którzy obnoszą swoje „ja” niby monstrancję.

— To nie to, co nasz kochany Jurek S. — rzucił ktoś z obecnych — Jurek to wzór skromności...

— To prawda — rzekł chępliwie Jurek — pod względem skromności jestem zupełnie bez konkurencji!

Tenże amant opowiada o wrażeniu, jakie zrobił na pewnym wieczorze artystycznym.

— Mówię wam, — objaśnia zebrałym — mój występ doprowadził publiczność do szału. Nic—tylko: bis, bis: Bisuję raz: Kłaniam się, chcę zejść ze sceny... Gdzie tam! Nie puszczają: Bisuję po raz drugi: Oklaski i wycia! Wywołują moje nazwisko, tupią. Cóż robić? Bisuję po raz trzeci...

— Po raz trzeci? — dziwi się ktoś z towarzystwa — Niesłychanie! I długo pan tak bisował?

— Bardzo długo — oświadcza z żałowaniem aktor — około trzeciej w nocy podchodzi do mnie dyrektor z intendentem i mówią: no, my już dłużej nie możemy czekać, ma pan klucz od teatru, jak się skończy — proszę zamknąć.

ALEKSANDER BAUMGARDTEN

W MOJEJ KAWIARNI

W mojej kochanej kawiarni spotykam różnych ludzi. chodzą tam wielcy i mali, przychodzą tłuści i chudzi.

Przechodzą o każdej porze żądni godziwej rozrywki: jedni — bo zimno na dworze, inni — poprostu na dziwkę.

Przy czarnej kawie i „bezach”, przy czekoladzie, „murzynku”, nabiera cech ta impreza kabotyńskiego wyszynku.

Płotki sprzedają na kilo, bzdury dodają za darmo; Tak sobie wieczór umila wzajem kretyńka i żarłok.

Co stolik: pan i dziewczyna, na dolar i dotyk czuła, wyblakła synogarlica i sklerotyczny Don Juan.

„Camele” i „Lucy Strickl” nimbem błękitnym wieją, wśród cudnie dobranej szajki cudnie się żyje nadzieją.

Dolary, kanty i robry serce im z piersi wydrą, mizdrzą się opasłe bobry ku swym wypiętym wydom

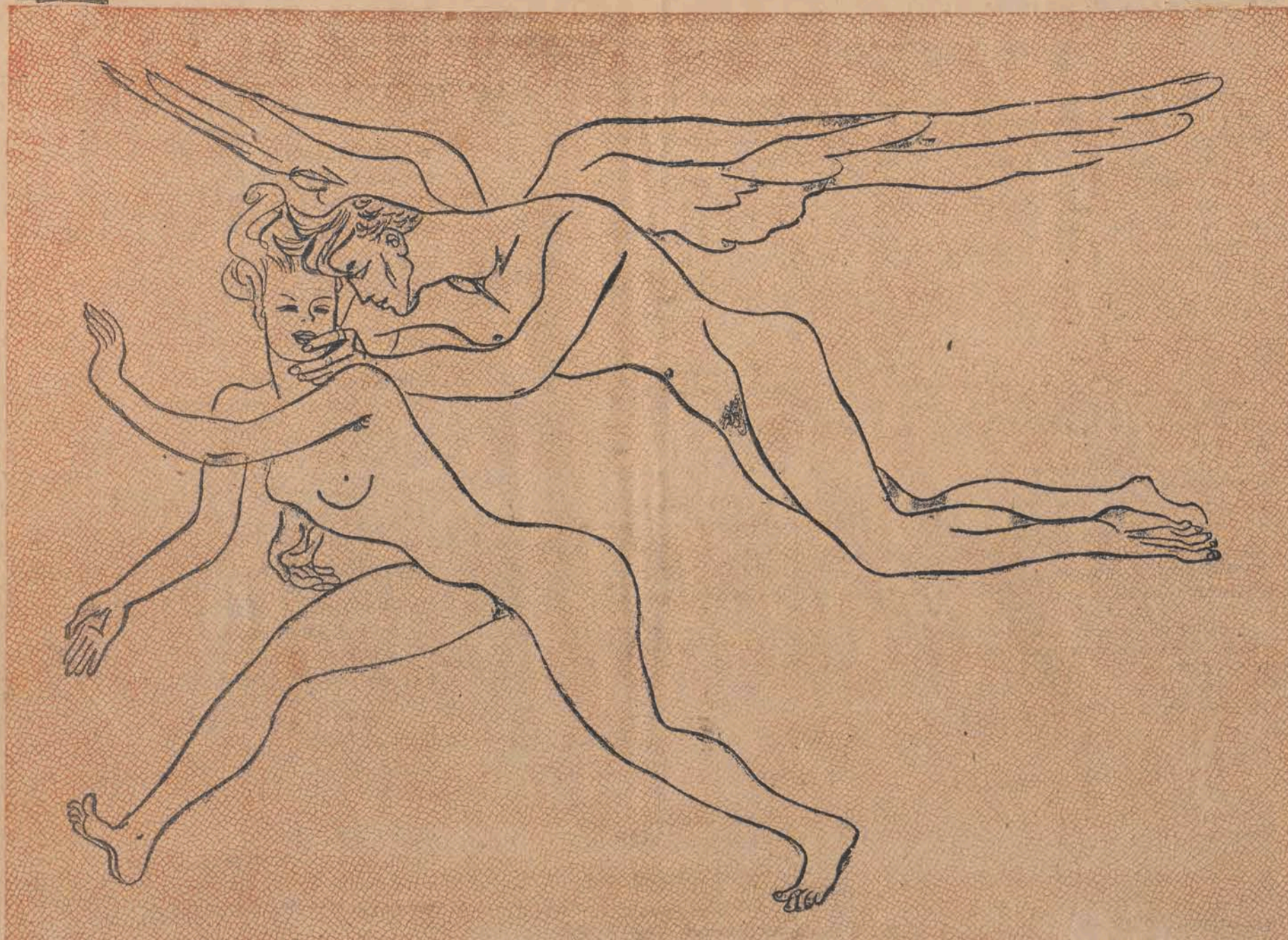
A kończąc dzień pracowity w noc syte rozpełźnie mrowie: z oichłami rodem kobity, i z piekła rodem panowie.



Rys. Karol Baranek

Krasomówca

podszuchał opłis



Rys. Maja Berezowska

O MIŁOŚCI

Próżno uciec, próżno się przed miłością schronić,
Bo jako lotny nie ma pieszego dogonić?

Jan Kochanowski (1530-1584)

Lolo Kawiorek był w siódmym niebie. Młoda osóbką, którą poznał nieważno, zgodziła się odwiedzić go w mieszkaniu.

Namiętność do kobiet była specjalnością Lolo. Nie można zresztą powiedzieć, aby w takiej namiętności był zbyt odosobniony. Stał przed lustrem i zakrył pieczołowicie łysinkę resztką włosów, które dzielnie trzymały się jeszcze z boków głowy. Potem wykonał kilka obrotów tanecznych po pokoju, podśpiewując pod nosem najmodniejszy przebieg:

„Gdy porwie nas namięty szal,
wtedy bym tylko tego chciał,
by kwitła miłość naszych ciał...”

Następnie zabrał się do nakrycia stołu, aby godnie przyjąć bogdanę. Nakupił mnóstwo smakolików i dwie butelki starego wina. — Po takim winie ulegnie najsilniejsza cnota — pomyślał. Kosztowało go to bardzo dużo, nawet za dużo, wydał wszystkie pieniądze, jakie miał i jeszcze musiał pożyczyć od kolegi. Ale czego się nie robi dla kobiety? Lolo spodziewał się ośnić tym przyjęciem swą znajomą, ponieważ była to osóbką skromną i nieśmiałą.

Zbliżała się umówiona godzina. Słodkie drzenie przebiegało Kawioreka: — Zaraz tu będzie. Pytanie: naiwna czy wyrafinowana? Ciągłe zagadywała: „A po co ja mam właściwie przychodzić do pana? Przecież możemy rozmawiać tutaj w parku”. (Lolo spotykał ją bowiem stale w pewnych godzinach w parku i siadał obok na ławce). — Szelmuśka. Po co ma przychodzić? Także pytanie! A może rzeczywiście taka naiwna?

LUDWIK ŚWIEŻAWSKI

SCHADZKA

O umówionej godzinie dało się słyszeć pukanie do drzwi.

— Moja Amelcia jest punktualna! — pomyślał z radością, idąc otworzyć drzwi. Doznał jednak rozczarowania. Za drzwiami stał jakiś obywatel:

— Ja tutaj — rzekł — od tej pani, która miała dzisiaj przyjść do pana.

— A, a, bardzo proszę... Niech pan siada! Może kieliszek wina?

— Jeśli pan tak łaskaw... — zauważył grzecznie wysłanec pięknej Amelci, nie dając się prosić, wypił duszkiem wino.

— Dlaczego nie przyszła? — zapytał Kawiorek — Chora?

— Chora? E, nie. To jest inna sprawa. Ale tego nie można tak prostu powiedzieć...

Lolo wyczuł jakąś intrygę miłosną. Bardzo go to przejęło. Nawet zachwyciło. Sprawa komplikowała się. Wytłumaczyły się jakieś tajemnicze przeszkody jak w prawdziwym romansie, a Lolo był przecież człowiekiem romansowym.

— Niechże pan mówi... Może jeszcze kieliszek wina?

— Chętnie. A te rybki to pierwsza klasa.

— Skumbrie w tomacie — objaśnił Lolo.

— Te, cośmy dostawali na przydział, ani się umyły do tych... skumbri!

— Spodziewam się. Więc proszę opowiadać o Amelci...

— No, cóż Amelcia! Kazała przeprosić, że nie może przyjść... A ten ser to z darów UNRR-y?

— Nie. Kupiony. Czy nie dała jednak jakiegoś listu przez pana?

— Nie dała. Można sobie włożyć kawalek?

— Proszę bardzo. Czy nie powiedziałaby przynajmniej kiedy przyjdzie?

— Nie powiedziała... A wie pan, że takich owoców to muszę przyznać jeszcze nigdy w życiu nie jadłem...

Tu emisariusz zamilkł, oddając się całkowicie rozkoszom jedzenia. Apetyt ten począł budzić w Lolu niezadowolenie, które nie uszło uwagi gościa.

— Otóż sprawa... zaczął znowu — ...Ale pozwoli pan naleję sobie jeszcze jeden kieliszek wina... A może pan żałuje?

— Nie żałuję, ale proszę mi natychmiast powiedzieć, co pan kazała powiedzieć panu Amelcia.

— Panna? — parsnął gość. — Jaka tam ona — panna?

— Mój obywatelu — rzekł chłodno Lolo. — To, że pan sobie podpłim moim winem, nie upoważnia pana do znieważania mojej znajomej!

Żarłok strapił się.

— Bardzo przepraszam, nie chciałem pana obrazić... A to wino to rzeczywiście idzie do głowy. To napewno nie owocowo, tylko prawdziwe...

— Do rzeczy! — warknął Lolo.

— Ja właśnie — odparł jegomość — do tego zmierzam... Jeśli powiedziałem, że Amelcia to panna, nie ma w tym nic złego, bo, widzi pan, to jest moja żona...

Lolowi pociemniało w oczach. Sięgnął machinalnie po butelkę i napelniał kieliszek.

— Może i mnie przy sposobności — podstawił mąż Amelci swój kieliszek. Lolo nalał z rezygnacją i wypił z taką miną, jakby się napił octu.

— Otóż, żeby powiedzieć prawdę — ciągnął przybyły — Amelcia zwierzyła mi się, że jakiś starszy tyrawy facet, który nieraz z nią rozmawiał w parku — to niby pan — zaprosił ją do siebie. Pytała się mnie, czy wypada jej iść. Ja jej na to: Widzisz, kobiecie zamężnej nie wszystko przystoi. Starszego też się czasem trzymają głupstwa. A nuż mu jaka nieprzystojna myśl przyjdzie do głowy? — wtedy? Więc lepiej już ja sam pójdę, wytłumaczę, na pewno zrozumie. My mężczyźni zawsze się rozumiemy. No, niech pan powie?

— Rozumiemy się — zgrzytnął zębami Lolo — rozumiemy!

— Otóż to! — ucieszył się mąż Amelci. — Zaraz widać, że z pana mądry i przyjemny człowiek! Nie tylko się nie obraził, ale jeszcze ugościł, jak Bóg przykazał! Wie pan co — że przychodzi mi nawet pewna myśl... A może pan nie ciekawy?

Lolo machnął ręką.

— Oczywiście — rzekł ironicznie — bardzo jestem ciekawy... No?

— Żeby pana częściej odwiedzać... Niby zamiast żony. Zarcie dobre, gospodarz miły. Gra pan w domino? Nie? To nic nie szkodzi. Będę przychodził bez domina...

WACŁAW OLSZEWSKI

WIOSNA

Choć znowu wiosna miauczy marcem,
choć śniegi w zieleń wsiąkły znów —
w rozpaczę — psiakrew — gryzę palce,
bo znowu liryzm ... pęczki bżów...

Bo skąd do wiersza znaleźć motto
ponure, smutne, gorzkie, zło —
gdy nawet kotka ze swym kotem
wiosną — na dachu — mordę drze

Bo, jak tu kogoś „bić co tydzień”,
gdy nawet różgi urzekł liryzm,
bo, jak tu kąsać, bić i szydzić,
gdy w pękach różeg... słowik kwili.

Waterman kwitnie miękką bazią
i tak go smutno w smutku „maczać,
z satyry — liryzm mi wyłazi:
— wiosna, psiakrew! I skutki marca!

WŁADYSŁAW SMÓLSKI

Nie czyn drugiemu

co tobie niemiło

Mam nadzieję, że dzięki energicznej działalności Komisji Specjalnej, coraz rzadziej będą się powtarzać wypadki z rodzaju tych, które zdarzyły się niedawno w pewnej instytucji, a wyniki, jak mniemam z przyczyny, że my Polacy, mamy zbyt dobre serca i zbyt strzeżemy przykazań: „Nie czyn bliźniemu, co tobie niemiło”.

Oto pomocnik magazyniera dowiedział się, że jednemu z pracowników zginęła skrzynia towaru. I cóż uczynił pomocnik magazyniera? Czy dał znać do władz do prokuratora? Aby pracownika wzięto pod sąd? Zakuto w kajdany? Wsadzono do więzienia? Słowem — zgubił człowieka. Ale Polak ma dobre serce.

Myśli pomocnik magazyniera: — „Dać znać władzy, czy nie? Tyle z tym zachodu. Będzie śledstwo. A szkoda chłopca. Porządny facet, tylko mu się noga powinęła. Każdemu się może zdarzyć. Ludzie muszą żyć. Ma żonę, dzieci. A przy tym to kuzyn Wiśniewskich. Nie chcę go mieć na sumieniu”. Zatuszował sprawę. Rozeszła się po kościach.

Alliści niedługo czas potem zdarzyło się, że za sprawą pomocnika magazyniera zginęły dwie paki. Dowiedział się o tym główny magazynier i myśli: — „Dać znać władzy czy nie? Tyle będzie zachodu. Zaraz śledstwo... I szkoda chłopca. Porządny facet, tylko mu się noga powinęła. Każdemu się może zdarzyć. Ludzie muszą żyć. Ma żonę, dzieci. Kuzyn Majewskich. Nie chcę go mieć na sumieniu.” I zatuszował sprawę. Rozeszła się po kościach.

W parę miesięcy później dowiedział się referent, że za sprawą głównego magazyniera zginęło kilka pak towaru.

Myśli referent: — „Dać znać władzy, czy nie? Znowu tyle zachodu, śledstwo itd. Szkoda chłopca. Porządny facet. Tylko mu się noga powinęła. Trudno, każdemu może się zdarzyć. Ludzie muszą żyć. Ma żonę, dzieci. Kuzyn Kamińskich. Nie chcę go mieć na sumieniu.” I zatuszował sprawę. Rozeszła się po kościach.

W parę miesięcy później dowiedział się kierownik, że za sprawą referenta zginęło dziesięć pak towaru.

Myśli kierownik: — „Skierować sprawę do sądu, czy nie? Tyle zachodu z takim śledstwem. Narobimy sobie wrogów. A przy tym szkoda człowieka. Porządny facet. Tylko mu się raz noga powinęła. Każdemu się może zdarzyć. Ludzie muszą żyć. Ma żonę, dzieci... I... nie chcę go mieć na sumieniu. A przy tym to kuzyn Malinowskich”. I zatuszował sprawę. Rozeszła się po kościach.

W krótki czas potem dowiedział się naczelnik, że za sprawą kierownika zginął wagon towaru.

Myśli naczelnik: — „Dać sprawę do prokuratora, czy też nie? Tyle zachodu z takim śledstwem. Narobimy sobie wrogów. A przy tym szkoda człowieka. Dobry kompan przy wodce. Raz mu się noga powinęła. Trudno, ludzie muszą żyć. Każdemu się może przydarzyć. Ma żonę i dzieci. A przy tym kuzyn Jan-kowskich. I nie chcę go mieć na sumieniu.” I zatuszował całą sprawę. Rozeszła się po kościach.

Alliści w kilka miesięcy później dowiedział się dyrektor, że za sprawą naczelnika wsiąkł cały transport. Zrobiła się z tego powodu mała chryja. Ludzie gadają, a także i w prasie coś nie coś o tym przebąkują.

Myśli dyrektor: — „Dać sprawę do Komisji Specjalnej, czy nie dać? Tyle hałasu z takim śledstwem. Mogą wyjść jeszcze inne rzeczy. Prasa zacznie pisać. A przy tym szkoda naczelnika. Człowiek jak złoto! Hełmy z nim wódki wypili „Poś Wiechą”. Raz mu się noga powinęła. Każdemu się może zdarzyć. Ludzie muszą żyć! Ma żonę, dzieci: A przy tym to mój daleki kuzyn. Mieć go na sumieniu!” I zatuszował całą sprawę. Szyto, kryto, wszystko rozeszło się po kościach.

I pomyślcie tylko: czy mogło by się to zdarzyć gdzieś indziej jak nie w pośród Polaków, którzy mają serca przepelnione miłością bliźniego i przestrzegają przykazań: „Nie czyn bliźniemu, co tobie niemiło”!



„W.S.” (kódz) Takie wierszyki jak:

- 1) Powiedział pan Józik,
że miłość to guzik;
- 2) Jeżeli mąż cię zdradza,
nie płacz swojej doli,
ponarzynaj mu palec
i nasyp soli;
- 3) Mówię ci, byłabyś wygrana,
żebyś nie była malowana.

nadają się wyłącznie do „zamieszczenia” w albumie osoby, której pan je poświęcił.

Rydełk Romuald, (Zduny k. Łowicza) Zaszła omyłka w adresie. List pana przekazał mi właściwemu tygodnikowi.

„Rudy Pies” (Skierniewice). Dziwny, bardzo dziwny pseudonim! Szkoda, że pańskie wiersze, Rudy Psie, nikogo nie gryzą, tylko — jak to się mówi — w piętkę gonią.

Maria Żukotyńska (Radom). Pisze pani: „jestem przekonana, że moja humoreska znajdzie uznanie Redakcji”. Niestety, proszę pani, przekonania nasze w tym wypadku się nie zgadzają. „Sz. G.” (Kraków). Nlach pan pracuje. Zobaczymy. „Nie od razu Kraków zbudowano”.

W. Kulesza (Pułtusk). Nie lubimy rozwtawać niczych złudzeń, ale doprawdy zdaje się panu, że utwór Pański to satyra.

St. Łęcki (Warszawa). „Długo wahałem się z wysłaniem swojej noweli...” Należało się wahać jeszcze dłużej i nie wysyłać. Zresztą — nowel nie drukujemy.

Czesław Majeranek (Jasło). Dobrze z pana ziółko, panie Majeranek! Takie świątwa wymyślać!

„Inż. Juliusz R.” (Włocławek). Może dlatego, że jesteśmy stali w „dyscyplinie” technicznej — „Wynalazek” nam się nie podoba.

„Zofia R.” (Jelenia Góra). Jelenia Góra z Jelenią Górą się nie zetknie, ale człowiek z człowiekiem — zawsze!

mały Kazio, który tak się pan w „Różgach” podoba: jest oczywiście, małym Kaziem ze „Szpilek”. Uciekł do nas bo go tam za bardzo kłuli.

Irma Czapska (Wieluń). „Oto fragment „Ballady o szyszce”:
„Szyzka ma wpływy, pieniądze, władzę;
wille z ogrodami; auto własny kort,
szampańskie wino pije jak wodę,
a zamiast chleba je codziennie tort...”
Radzimy wyjść zamąż za „szyszke”
i przekonać się, jak jest naprawdę. Z tym kortem, tortem, a zwłaszcza — z urodą.

Jan H. (Toruń). Drukujemy „bez protekcji”, zaznaczając, że jeśli chodzi o nadesłane przez pana „dawcipy” — żadna protekcja im nie pomoże.

Alfreda M. (Sosnowiec). Pisze Pani: Ludzie do Redakcji swe utwory znoszą; po to, by Redakcja topiła je w koszu.

Prosimy nie uogólniać. Ze się pani zdarzyło, nie znaczy, aby to miało miejsce zawsze i w stosunku do wszystkich.

Marian Chrapacz (Poznań). Chrapnęliśmy sobie, czytając Pańską „humoreskę” pt. „Przedziwna przygoda Felka Mamaligi”.

„Lou—lla” (Bydgoszcz). Może do „Medy i Życia Praktycznego”? My takich „kącików” nie prowadzimy.

Jan Zagula, M. Mrozowska, B. Taszczak, L. Rudkowski, R. Holub (Warszawa), E. A. (Nowe Miasto), S. Skierski, A. Barczyński, J. Galas, Feliks Tazbir (Kraków), Nina H. (Będzin), Adela Goetz, Aleksander Tarło (Katowice), R. Kurzawiński, Grażyna Leżuchowa (Poznań) W. Satory (Mysłowice), J. Wójcik (Dąbrowa Górnicza), S. Beezkowicz (Wyszogród), Por. L. T. (Madlin), Krystyna Lachman (Toruń), W. Mackiewicz, Jadwiga Müller, Wanda Rogalska (Gdańsk), K. Ryteł, Kalina Sokół (Wrocław), J. Wecowa (Lignica), J. Zychowicz (Opole) — Nie skorzystamy.

Pewien młody autor czyta Tristanowi Bernardowi swą sztukę. Bernard słucha cierpliwie. Gdy autor skończył, Bernard zapytuje:

— Więc jak tam było przy końcu? Co się stało z bohaterką?

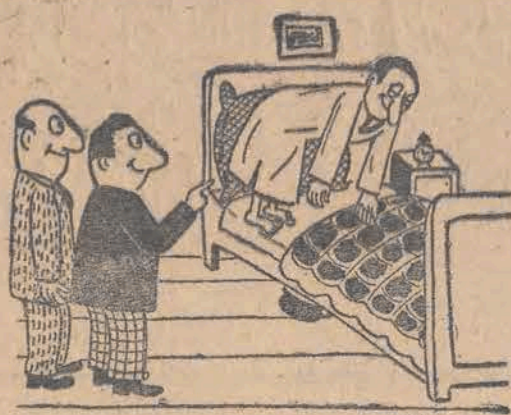
— Otruła się!..

— Radzę panu — powiedział Tristan Bernard — żeby się lepiej zastrzeżona. Chodzi o sam huk — trzeba przesięć publiczność obudzić!

Jednego wieczora znalazł się Tristan Bernard w operetce. Primadonna, która zresztą zewnętrznie robi bardzo wiele wrażenia, nie ma wcale głosu, a do tego mówi tak niewyraźnie, że nie rozumie się ani słowa, kiedy śpiewa.

Tristan Bernard pochylił się do obok siedzącego przyjaciela i szepce mu do ucha:

— Widzisz to jest jedyna kobieta, której powierzyłbym swe tajemnice.



Alifka

Rys. Alifka

— On jest wzorem grzeczności! Nawet, gdy śpi i śni mu się kobieta, to wstaje i bierze się!

Listy do Redakcji

Niepoczytalne wystąpienie

Jestem zdumiony i zaskoczony niepoczytalnym — bo innych słów, niestety, nie znajduję! — wystąpieniem p. Mariana Piechała w „Różgach” z dnia 16.3.1947 roku

Rzecz jasna, poczucie godności osobistej nie pozwala mi na polemikę ze wszystkimi kłamstwami, insynuacjami i przekręceniami na jakie sobie wymiarkowany osobnik pozwolił.

Ograniczę się do paru momentów z przeszłości.

Pierwszy w życiu wieczór autorski p. Piechała miał miejsce w 1936 roku w sali chóru „Harfa eolska” właśnie w Skromnej Miłosnej.

Po recytacjach właśnie tak „broniący” św. p. Kaliks Łasiczka z właściwą sobie szczerością oświadczył, że wiersze Piechała cechuje nużący werbalizm. I kto wtedy stanął w obronie tych wierszy?

Nie kto inny, jak niżej podpisany, rzucił na szalę cały swój autorytet członka Towarzystwa Wędkarskiego, wystąpił w obronie i stwierdził, że werbalizm Piechała jest całkowicie uzasadniony brakiem głębszej myśli w jego poezji. Sam p. Piechał zapewnił niżej podpisanego o swojej dożgonnej wdzięczności za tę śmiałą obronę.

Dziwne pojęcia ma p. Piechał o dożgonnej wdzięczności.

lecz to nie jest najważniejsze. Kiedy tenże Piechał wydał pierwsze

swoje tomiki poetyckie p.t. „Garść rosołu” i „Srebrna blaga”, — kto umieścił w ówczesnym dwutygodniku „Wiadomości wędkarskie” w dziale „z życia powiatu” entuzjastyczną recenzję?!!

Kto, zapytuję dalej, forsował tegoż Piechała zanim ten został członkiem Powiatowej Akademii Literatury w Zapadnikach?!!

Tych faktów zaprzeczyć się nie da.

A w trudnym okresie powojennym, gdy brak papieru był nagminną kłeską pisarzy, kto mu tegoż papieru — odmawiając sobie dla najważniejszych potrzeb, związanych z funkcjami fizjologicznymi — dostarczał?

Ale możeby zabrał głos red. Sojecki, który zdaniem podpisanego, mileży zupełnie niepotrzebnie i który, jako wypróbowany przyjaciel tragicznie zmarłej Placydy Łasiczkówny, zdaje się, że ma to i owo do powiedzenia. Chyba pamięta pan, panie Stanisławie, jak to było z ową maszynką do robienia lodów i owym prawidłem do bućków, które zabrał pan Piechał ze skromnego mieszkania Łasiczków rzekomo celem usunięcia drobnych defektów?!!

Żyj również ludzie, wśród których nie kto inny, a właśnie Kaliks Łasiczka kolportował w odręcznych odpisach swój słynny „Tryplet”.

Pozwólę sobie przytoczyć tu w całości, gdyż uważam, że stanowi on najbardziej wymowną ilustrację stosunku Kaliksa Łasiczki do p. Piechała,

TRYPLET

I.

Hej, panowie, żyjemy zdala
od szacherek M. Piechała!

II.

Humor szpetnie mi nawala,
gdyż spotkałem dziś Piechała!

III.

Nawet nasza Pyzka Hala
za nic nie chce znać Piechała!

Sądzę, że powyższa wymowna ilustracja stawia we właściwym świetle niefortunny, a tak krzywdząco napisane, wystąpienie p. Piechała. Muszę przy tym nadmienić, iż wszystkie rzekome teksty Kaliksa Łasiczki, cytowane przez p. Piechała, są mistyfikacją, gdyż i ta pożałuj się Boże, metodą nie gardzi „znakomity łódzki poeta”.

Z wyrazami głębokiego poważania

JAN HUSZCZA

Skromna Miłosna, 18.III 1947 r.

OSWIADCZENIE

Z powodu niecnej napaści na swego długoletniego członka, kol. Jana Huszczy ze strony p. Mariana Piechała, Towarzystwo Wędkarskie w Skromnej Miłosnej na nadzwyczajnym walnym zebraniu postanowiło dać wyraz najwyższemu oburzeniu.

Jednocześnie spieszymy zająmunkować, iż p. Marian Piechał jeszcze w 1398 roku został wykluczony z naszego Towarzystwa za stosowanie w praktyce wędkarskiej rzadzych haczyków oraz fałszywych przynęt w rodzaju guzika od spodni i pinetek kancelaryjnych.

(m.p.) Prezes Towarzystwa
dr SATURNIN KIJANKA

Sekretarz Towarzystwa
mgr. LUDWIK SZNAŃSIK

Skromna Miłosna, 20.III 1947 r.

Zdżbla i belki

Zabawne tytuły

W numerze 11-tym „Odrodzenie” (które pozdrawiamy serdecznie z powodu przenosin do stolicy!) zapowiadają, iż będzie drukować

cykl utworów pod zabawnym tytułem „Śmierć inteligentów”.

A cóż w tym tytule zabawnego? Zwłaszcza dziś, kiedy szereg inteligencji są tak okrutnie przerzedzone!

Maluczkę a przeczytamy: ukazało się nowe wydanie powieści Szmaglewskiej pod zabawnym tytułem „Dymy nad Birkenau”.

Dziwne pojęcie o humorze ma tygodnik literacki uczący się po zabawnym tytule „Odrodzenie”.

(Hoł.)

CZAJNIK ELEKTRYCZNY LUB SŁOWACKI

„Przekrój” w swoim setnym numerze ogłosił konkurs na nazwę jamnika, przeznaczając następujące nagrody:

Za najlepszą nazwę projekciodawca otrzyma 200 ZŁOTO PŁA (szczęślika) lub wg uznania wygrywającego CZAJNIK ELEKTRYCZNY lub „PISMA” I. SŁOWACKIEGO w opiacowaniu J. Kallenbacha.

Prawda, że dowcipnie i bardzo kulturalnie zestawienie?

Możeby jednak, ze względu na szacunek dla czajnika, zmienić nagrody np. na „rolkę papieru higienicznego” lub wg uznania wygrywającego rocznik „Przekroju”...

(J. Hoł.)

Z zeszytu małego Kazia

